RÓK DRUGI.

—

№ 31.

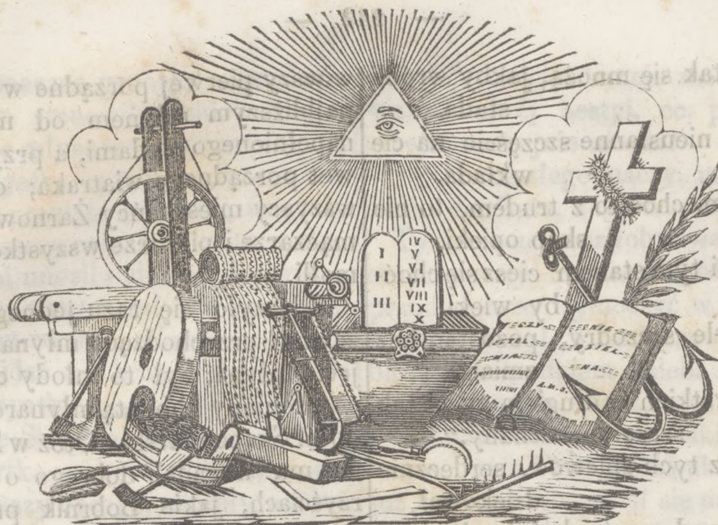
Warszawa

Dnia 21 lipca (2 sierpnia)

1857.

Niedziela

8 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Niech cię to nie dotyka, jeśli widzisz innych czczonych, siebie zaś w upokorzeniu i pogardzie; wznieś ku Bogu serce twoje w niebo, a wzgarda ludzi na ziemi zasmucać cię nie będzie. (O naśl. Chr. K. 3 R. 41).

Dożynki, czyli Okrężne w Krakowskiém.

(opowiadanie parobka).

—

Jak pamiętam, pan wsi naszéj to to był pan z panów;
Na rozległych jego polach zboża pełno łanów.
Kiedy przyszedł miesiąc sierpień, toć to były żniwa,
A ochota i szczerota w téj pracy uczciwa.
Bo to zboża przy pogodzie toć się aż płoniły,
Kłosy z ziarnem aż się gięły, a jak złoto skrzyły.
Tu pszenica, a tam żyto, wdal jęczmień, tatarka,
A staranna wszędzie siejba, dobra gospodarka;
Daléj rzepak, groch i proso, ziemniaki, ugory,
Łąki, lasy, w których dęby, buki i jawory,
I jedlina też po bokach, a z niéj gonty, belki,
I brzezina i sośnina, drzewa rodzaj wszelki.
A pan dobry i zamożny, z wszystkiego się chlubił,
I poddanych sobie chłopków, jak swe dzieci lubił;
Więc gromada panu rada jęła się do pracy,
Wszystkie dziewki i parobki, nawet i chłopacy,
I kto tylko w Boga wierzy z sierpem w ręku bieży;
Tną sierpami, a garściami zboże w polu leży.
Tęgie chłopy, daléj w snopy to składać, to zbierać,
Że ekonom już nie starczył do stodół odbierać;
Tak składali, tak wiązali, tak prędko zwozili,
Żniwa całe ukończyli, jakby w jednej chwili.
Boć gromada to nierada nad żniwem się bawić,
Gdy pan dobry, jeszcze pragnie dożynki wyprawić.
W całem żniwie Zośka ze mną była przodownica,
A od pracy, jak korale skrzyły się jéj lica.
Gdyśmy żniwa ukończyli, Zośkę ustroili,
Z modrych chabrów, zboża kłosów wieniec jéj uwili.
Kiedy w taki śliczny wieniec ustroiła głowę,
Tom do dworu ją prowadził jak gdyby królowę;
Wszystkie dziewki jakby łanie, chłopcy jak topole,
A u jednych i u drugich z pracy pot na czole.
Gdy się Zośka i wraz zemną ku panu zbliżyła,
Najpierw rzekła słowo Boskie, potem się skłoniła,
Panu wieniec swój oddała, piosnkę zaśpiewała,
A gromada panu rada, w chór z nią powtarzała:
„Niech ci ziarnek choć pięćdziesiąt wyda każdy kłosek,
Niech rok rocznie wieś przybywa do tych, co masz wiosek;

Niech ci *bite* (1) tak się mnożą, jakby wróbli stada,
Niech Bóg Wielki nieustanne szczęście na cię wkłada.
Nad swym ludem, choć to z trudem, to nie skąp opieki,
Bądź nam panem, i tym stanem ciesz się choćby wieki.
Jesteś dobry, tyle szczodry, pozostań bez zmiany,
Bądź przez wszystkich w długiem życiu tak szczerze kochany."
Oj! cieszył się pan z tych spiewów, serdecznie dziękował,
Nawet starszych gospodarzy ściskał i całował;
Dużo bułek, a co piwa zaraz nam wystawił,
I sam z nami choć z chłopami za pan brat się bawił.
Tańce były przede dworem, skrzypków aż dwóch grało,
I co żyło, się cieszyło, tańczyło, skakało.
Przez dzień cały i noc całą tak my się bawili,
Z szczęścia swego, a pańskiego szczerze się cieszyli;
I dziedziczka choć to pani, z chłopami tańczyła,
Nawet małe swe paniątka do tańca zmusiła.

Chciwy młynarz.

We wsi Zdyszewicach, leżącéj nad rzeką Czarną, która sławna jest dzisiaj z obfitego połowu węgorzy, a w któréj, jak starzy ludzie gadają, i jak podobno w księgach nawet piszą, dawniéj miało być dużo jakichś zwierząt, co je nazywają bobrami, stoi młyn, od nich biorący nazwisko Bobrnik, który jak i cała wieś Zdyszewice należy do kapituły Sandomierskiéj. Księża ledwie raz na kilkanaście lat zaglądają do swego folwarku, jako zbyt oddalonego; cała zaś wieś wraz z młynem pospolicie jest w taniéj dzierżawie. Otóż młyn Bobrnik od kilkunastu już lat, trzymał stary Wojciech Pytlewski, który i dzieciska swoje tu wychował, i kilkoro razem z żoną pogrzebał. Księża nie podwyższali mu czynszu, a on lubo nie robił pieniędzy, ale miał i inwentarze piękne, i każdą córkę uczciwie wywianował, i synów wyprawiając na swoję rękę, dał każdemu z nich zapomogę, wyprawiwszy pierwéj porządne wesele. Bobrnik jest najbliższym młynem od miasteczka Żarnowa, napełnionego żydami, a przy którém niema nawet porządnego wiatraka; dlatego też nietylko wszyscy mieszkańcy Żarnowa, lecz przekupnie, mączarze i piekarze wszystko zboże zawsze tam mełli.

Zdarzyło się razu jednego, że do Żarnowa zawitał przechodzący młynarz, szukając do najęcia młyna; był to młody człowiek, niedawno co ożeniony z bogatą młynarczanką, nazywał się Józef Skąpomiarski. Otóż w Żarnowie żydzi dużo mu nagadali dobrego o niesłychanych korzyściach, jakie Bobrnik przynosi; jak tu nigdy nie brakuje wody, jak naokoło w okolicy niema młyna, że tartak ciągle w ruchu nie może nadążyć robocie, że z łatwością możnaby zrobić czwarty i piąty ganek przy młynie, że jagielnik i folusz sukna trochę zmienione, bardzo dużoby więcéj przynosiły; ale w tém sęk, że teraźniejszy młynarz Wojciech, już tu ze dwa dziescia kilka lat siedzi, a nikt nie śmie go podkupić, chociażby to się z łatwością udało, byle wpaść do Sandomierza do księży, i postąpić czynszu, to Wojciech i nie będzie wiedział o tem, jak wyleci z młyna. Podobał się bardzo Skąpomiarskiemu ten interes, i niedługo kalkulując sobie w głowie, postanowił sam obejrzeć Bobrnik, z zamiarem, żeby jeśli w saméj rzeczy młyn jest dowodny, cichaczem się postarać o zaarendowanie go.

Niewiele więc myśląc, zarzucił torbę podróżną na ramię, i spiesznym krokiem udał się ku Bobrnikowi. Zdaleka idąc nad brzegiem rzeki Czarnéj, widział, że koryto jéj lubo wązkie, lecz jest wartkie i głębokie; w wielu jednakże miejscach leżące kłody spróchniałego drzewa i zarośnięte trzciną wyspy, bieg wody tamowały—widział, że łatwo tutaj usunąć małym kosztem nie zbyt duże przeszkody. Zdaleka już usłyszał warkotanie kół młyna, a w przyległéj olszynie zobaczył kilkanaście sztuk pięknego bydła, a które jak się dowiedział od chłopaków, należało do młynarza Pytlewskiego. Na drugiéj zaś stronie Czarnéj rozciągały się śliczne łąki należące do młyna, na których w téj chwili grube leżące pokosy, napół traw gruntowych, napół koniczyny, miły zapach naokoło rozsyłały. Bobrnik młyn leżał o kilka staj od wsi. Obszerna stodoła i obora i kilka poprzylepianych klitek jasno pokazywały, że do mły-

(1) *Bite* są to talary srebrne, mające wartości złp. 8, dziś bardzo rzadkie.

na muszą należeć i znaczne grunta, a dwa brogi przy stodole miły stanowiły widok dla gospodarza. Mieszkanie młynarza obszerne, słomą kryta chałupa z facyatką opartą na dwóch słupach, przy których przybite ławeczki, ściągały zawsze w letnie wieczory całą familią tu mieszkającą; stado gołębi unosiło się nad domem, a dwa kudłate kundysy wygrzewały się na słońcu. Tartak właśnie był w ruchu, i mlewa chociaż to na przednowku, widać nie brakowało, bo wywarte było na wszystkie ganki. Wszystko to dziwnie podobało się Skąpomiarskiemu.

Jeszcze był za furtką na skobel tylko założoną, kiedy psy zobaczywszy obcego, zaczęły ujadać; ale Skąpomiarski zaufany w swój kij potężny, śmiało przystąpił do furty, i pchnąwszy takową, znalazł się na podwórzu. Psy z największą zajadłością rzuciły się do niego; zaczął więc z początku pogwizdywać i cmokać na nie, ale widząc, że to nie pomaga, wziął się do kija, i zaczął raźno na wszystkie strony się opędzać. Na harmider ten otworzyły się drzwi chałupy, i w środku ich w kamizeli tylko, bez chustki na szyi ukazał się stary Wojciech. Chłop to był wzrostu wysokiego, i jak zwykle wszyscy tacy, nieco schylony ku ziemi; włosy długie białe spadały aż na ramiona zpod dużego słomianego kapelusza, na którym pył mączany pokazywał, że dopiero powrócił ze młyna. Zobaczywszy podróżnego tak opanowanego przez psy, uśmiechnął się naprzód z zadowolenia, że ma tak dobrych stróżów, ale spiesznie się pomiarkowawszy, że niegodzi się szydzić z cudzéj biedy, gwizdnął kilka razy donośnie; lecz psy czy nie słyszały swojego pana, czy nie tak się rozżarły obroną, że coraz z większą zaciekłością nacierały. Skąpomiarski zaś oparłszy się plecami o płot, nie mógł postąpić ani kroku, aż nareszcie widząc Wojciech, że wołanie na nic się nie zda, sam zeszedł aż do oblężonego, i wziąwszy go za rękę, sfukawszy psy, poprowadził ku chacie; lecz kiedy już miał wchodzić do sieni, jeden z dwóch psów raptem przyskoczył z przodu, i uchwyciwszy go za nogę, na któréj zaraz krew się pokazała, zaczął ujadać z całą gwałtownością, jakby żadnym sposobem nie chciał przepuścić go za próg domu, jak gdyby przeczuwał w nim wroga

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen, zawołał, żegnając się stary Wojciech. Co to jest, ten pies jak żyje, nikogo jeszcze nie ukąsił.

— To teraz odemnie zaczął — nie możecie to wiązać takiéj bestyi, co poczciwym ludziom przejść spokojnie nie da?

— To coś złego znaczy, mruczał pocichu Wojciech, daj Boże, żeby na moje nie wyszło.

Tymczasem weszli obydwa do chałupy; tu Wojciech opatrzył zranioną część nogi, i kazawszy naprzód dobrze wymoczyć w zimnéj wodzie, sam krew wycisnął, a nazbierawszy pajęczyny, urobił ją z ośrodkiem chleba razowego, nakropił octem, i czystą szmatą mocno owinął.

Tymczasem Skąpomiarski opowiadał staremu, że jest aż z Prus czeladnikiem młynarskim, że już od pół roku puścił się na wędrówkę po świecie, ażeby zobaczyć, jak to i u ludzi się dzieje. Opowiadał mu, jakie to on widział młyny, co bez wody i wiatru na szczerym piasku wystawione, samą parą mielą; że on przyzwyczajony do dużych miast, nigdy w życiu choćby mu się złoto mełło, nie utrzymałby się na takiem pustkowiu, jak nazywał Bobrnik, i zakończył, że jeżeli majster pozwoli, to sobie u niego parę dni odpocznie.

—Z Bogiem odpoczywaj mój przyjacielu, a kiedyż to widziano, żeby swojak swojaka nie przyjął w gościnę? — przecieć to młynarz z młynarzem, to zawsze jest jakieś powinowactwo. Za młodych lat i ja peregrynowałem po świecie, i różnie się to, nietrzeba ci mówić, natrafiło w podróży; ale kiedy człowiek się już ustatkował i osiadł na dobre, to zawsze milej kogo u siebie poczęstować, jak samemu być częstowanym. To mówiąc, udał się do komory, i niedługo zabawiwszy, wyniósł tęgi dzban pieniącego się piwa, oraz potężne dwie szklanice, a zapaliwszy na krótkim cybuszku fajeczkę, podał kapciuch skórzany wyszywany gościowi, i zaczął go prosić, ażeby używał, co Bóg dał. Skąpomiarski z apetytem pociągnął smacznego piwa, i nałożywszy swoję fajeczkę, mówił:

— Już to prawda, że majster starszy odemnie, dlatego też niejedno więcéj widział na świecie, i niejedno lepiéj wie odemnie; ale co na to to się nie zgodzę, co dopiero majster mówił, że miléj kogo częstować, jak samemu być częstowanym. Jak się kogo częstuje, to zawsze jaki grosz wylecić musi, a jak nas częstują, to nietylko nic nie tracimy, ale i zabawiamy się cudzym kosztem, i jeżeli mamy rozum, to najłatwiéj nam interes z podchmielonym zrobić.

Spojrzał się Wojciech zpod oka na młodego

człowieka; znać nie podobała mu się ta mowa, bo odchrząknąwszy i splunąwszy na ziemię, mówił.

— Licho tam po interesach, co się robią po pijanemu; człowiek albo się sam oszuka, albo się drugi poszkapi. Czy tak, czy owak zawsze źle—ja bo jak mam jaki interes robić, albo wyjeżdżam na jakiś czas z domu, to naprzód przeżegnawszy się, polecam się ukrzyżowanemu Zbawicielowi i Najświętszéj Jego Matce; a mogę śmiało powiedzieć, że chociaż już przeszło 60 lat żyję, nie przytrafiło mi się jeszcze nic takiego, coby mnie do rozpaczy przywiodło. A! zabrał ci prawda Bóg moję kobietę i troje dzieciaków, to już znać taka była Jego wola.

Skąpomiarski nie był tyle nabożnym, nie trafiała mu więc do serca ta mowa starego Wojciecha, i myślał sobie w duchu: Baj sobie stary, baj— masz dobre miejsce, to ci się nieźle powodzi, ale nie umiesz z niego korzystać. Niechno ja się tu tylko dostanę, a zobaczymy za parę lat, co u mnie będzie?

Tymczasem na obiad przyszło dwóch młynarczyków, parobek, dziewki dwie, i chłopak od bydła i owiec. Jedna z służących nakryła duży, podłużny stół, grubym lecz białym obrusem, a gospodarz sam wyniósłszy z komory porządną flaszę alembikówki namoczonéj w brzozowych baśkach, przypił najprzód do gościa, ten do czeladników, ci do młodszéj służby i tym sposobem kieliszek obszedł od ust, do ust nie pomijając nawet chłopca od bydła—poczem Wojciech sam znowu zaniósł flaszę do komory i powróciwszy, głośno odmówił modlitwę przed jedzeniem, którą cała czeladka powtarzała cicho. Dopiero teraz zasiedli wszyscy do obiadu; przed każdym stała szklanica pieniącego się piwa, a z białéj mąki żytnéj kluchy pływały w mleku, co miły zapach rozsyłało naokoło. Wesoło, przy wspólnéj rozmowie, znikły kluski ze stoła, a na ich miejsce ukazała się jedna i druga donica młodych kartofli ze *szwedami*, przysmażonych z cebulką, a kiedy i to znikło, i piwo się wypiło, każdy pocichu się przeżegnał, i poszedł do swojéj roboty.

Nie podobała się Skąpomiarskiemu naprzód ta poufałość czeladzi. Jak to może być, mówił sobie, żeby majster razem jadł z parobkami i dziewkami?—albo ta wódka i piwo przy obiedzie? albo czy potrzeba tak krasić kartofle?— wszystko to zbytki; oj! u mnie tak nie będzie, nie.

Parę dni zabawił jeszcze Skąpomiarski w Bobrniku; Wojciech nietylko pokazał mu młyn cały, ale nie domyślając się zdrady, oprowadził go po polu i łąkach, i pomału wywnętrzył mu się ze wszystkich swoich interesów. Skąpomiarski wszystkiemu się uważnie przypatrzył, wszystko obrachował sobie w głowie, i z tego wszystkiego wyprowadził sobie taki wniosek, że choćby jeszcze połowę czynszu postąpił, to szwankować nie będzie. Dlatego więc nie bawiąc już w Bobrniku, jednego poranku o wschodzie słońca, wziąwszy felajzę na plecy, był już gotów do drogi; ale stary Wojciech nie puścił go od siebie tak na sucho. Po smaczném śniadaniu, wyniósł kobiałkę łubową, potężnie wyładowaną, a w niéj znajdowała się i kiełbasa wędzona, sér, masło, biały chleb, garnuszek miodu, i inne do życia produkta, i rzekł:

— Teraz przednowek, dużo znajdziesz wsi mój przyjacielu, że choćbyś dukata zapłacił za jajko, to go nie dostaniesz, a choćbyś i dostał, to będąc z tak daleka, grosz szanować w podróży trzeba.

Idź więc z Bogiem mój synu, a kiedy powrócisz nazad do Prus, to powiedz tam, że tu w Polsce umieją być gościnnymi dla podróżnego, że tu u nas w Opoczyńskiéj ziemi, czem chata bogata, tem rada. Uśmiechnął się tylko nieznacznie na to wszystko Skąpomiarski.

W parę dni był w Sandomierzu; tutaj postarał się zaraz zabrać znajomość z ludźmi, zostającymi przy kapitule, a mianowicie z organistą, który nietylko najdokładniéj go poinformował, od kogo interes zależy, ale jakich środków najlepiéj użyć, ażeby wyjednać sobie podpis kontraktu—niepomału jednakże posmutniał, dowiedziawszy się, że stary Wojciech jest mocno lubiany od księdza kanonika, któremu wieś Zdyszewice i z Bobrnikiem dano przez kapitułę. Ale i na to w przebiegłéj swojéj głowie znalazł sposób; umyślił udać się za zięcia starego Wojciecha, i kiedy go kościelny zaprowadził do mieszkania księdza kanonika Dobrzańskiego, to pokłoniwszy się nisko, powiadał, że stary Wojciech mocno już niedomaga, że nie może sam na siebie utrzymać młyna, że on ożeniwszy się z jego najmłodszą córką, a napraktykowawszy się dosyć pierwéj po świecie, przysłany jest przez Wojciecha do księdza kanonika, aby miał wzgląd na jego tyloletnie dobre sprawowanie się, i wypuścił jego zięciowi młyn, a Wojciech stare

swoje kości chce utulić przy dzieciach, i chwalić Boga na późne lata.

Kanonik Dobrzański sam najpoczciwszy człowiek, nie podejrzywał go o zdradę, i zawarł z nim kontrakt, nie podwyższając wcale czynszu. Jeszcze przy podpisaniu kilka rubli odsunął Skąpomiarskiemu na zagospodarowanie się—to tylko nie w smak było Skąpomiarskiemu, że kanonik żadną miarą nie chciał kontraktu na dłużéj podpisać, jak na rok, tłumacząc się i słusznie, że niema prawa na więcéj wypuszczać.

Zresztą dodał, na większe jeszcze umartwienie Skąpomiarskiego: powiedz staremu Wojciechowi, że coś o mnie zapomniał, nie przysłał mi miodu, a co rok przecie tak robił.

Tu Skąpomiarski zaczerwienił się, i zaczął znowu łgać, że zima była ciężka, jesień mokra, pszczoły nie mogły chodzić na robotę, i prawie wszystkie wypadły; ale że on, da Bóg doczekać przyszłego roku, spodziewa się sam z swojego dorobku przywieść gościniec księdzu kanonikowi. A kiedy się pożegnał, zaprosił organistę na butelkę piwa, i prosząc go, żeby zawsze dał dobre słowo za nim przed księdzem, spiesznie oddalił się do domu, uwożąc z sobą kontrakt, który zaraz z Końskich rozkazał wręczyć Wojciechowi Pytlewskiemu.

Jak piorun uderzyła ta wiadomość starego Wojciecha—on, który 24 lat tu przebył bez żadnego targu, on, któremu jeszcze w przeszłym roku ksiądz kanonik przyrzekał, że do śmierci mu nie podwyższy czynszu, ani innemu wypuści, on, który tak pobratersku przyjął pod swój dach niegodziwego człowieka, teraz na stare swoje lata widzi się przymuszonym wynosić się jak włóczęga z miejsca, a tu tylko do Śgo Jana niecałe dwa tygodnie. Co zrobi z inwentarzami w tak krótkim czasie, gdzie znajdzie stosowne miejsce dla siebie? zresztą i w polu ponadsiewał, i łąki posprzątał swoim kosztem.

Długo siedział zadumany przed domem, nareszcie poszedł do komory, wyniósł stare siodło i uzdeczkę, a wsiadłszy na szkapę, w swoim słomianym kapeluszu, w długiéj za kolana nankinowéj kapocie, udał się do dzierżawcy całych dóbr Zdyszowic, którego zastawszy w domu, opowiedział mu pomału całe swoje nieszczęście, i papiery doręczone pokazał.

Pan Iskrzycki, dzierżawca od kilkunastu lat Zdyszewic, stary wiarus, człowiek prawy, nie mógł naprzód zrozumieć tego; znał dobrze księdza kanonika Dobrzańskiego, od którego trzymał dzierżawę, kręcąc więc głową, i poprawiając wąsa, rzekł:

—Znam księdza kanonika—zanadto on jest uczciwy, żeby pozwolił bez przyczyny na dwa tygodnie przed Świętym Janem rugować człowieka, który i dobrze się rządzi, i czynsz regularnie opłaca—w tém tu jest jakiś podstęp. Jutro wyjeżdżam do Sandomierza z moim czynszem, o wszystkiem się dowiem; co będę mógł, to dla was zrobię. Papiery są formalne, niema innego ratunku, tylko się trzeba wyprowadzać, a jeżelibyście mój Wojciechu nie znalezli dogodnego dla siebie miejsca, w takim razie stoi chałupa próżna po Łukaszku, obszerna jest i zabudowania ma dobre, to się wprowadźcie—dla dobytku zaś odstąpię wam łąkę w lesie *Kępinę*, i słomy dodam za małą zapłatą; nie martwcie się więc i jedźcie z Bogiem.

Stary Wojciech uścisnął kolana pana Iskrzyckiego, i trochę pocieszony powrócił do domu, a w parę dni zupełnie się wyprowadził ze młyna do Zdyszewic, nie chcąc spotkać się ze złym człowiekiem.

Tymczasem Skąpomiarski na łeb na szyję zaczął się sprowadzać do Bobrnika. Chciał on od Wojciecha za psie pieniądze kupić wszystkie porządki młynarskie i gospodarskie; jako też myśląc, że i z inwentarzem nie będzie się miał gdzie podziać w tak krótkim czasie, był prawie pewny, że to wszystko przejdzie na jego własność. Ale stary Wojciech ani sobie mówić o tém nie pozwolił; wszystko, co swoje, pozabierał, i darowując mu już krzywdę za nadsiewy, sprzęty łąk, nie chciał się z nim wcale widzieć.

Skąpomiarski mało jednak na to uważał—czeladź choć z przykrością została na miejscu za znacznie zmniejszoną zapłatą; miarkę młynarską kazał przynajmniéj na dwa cale zrobić wyższą, co stanowiło więcéj garnca. Żona jego w niczem mu także nie ustępowała: szczupło wydawała ludziom jedzenia, a jeżeli mleko, to rozbełtane napół z wodą; piwa nie zobaczyłeś na stole, a gdy przyszło święto, to i kieliszkiem wódki nie zachęciła czeladzi.

Tymczasem powrócił pan Iskrzycki z Sandomierza; tam dowiedział się o wszystkiém, jak Skąpomiarski udał zięcia Wojciecha, jak przyszedł z prośbą w jego imieniu o wypuszczenie młyna—i wszystkie łgarstwa na wierzch wyszły. Cichaczem więc zapewnił Wojciecha, że ks.

kanonik Dobrzański mocno żałuje, iż się dał tak złapać oszustowi, i że na przyszły rok da Bóg doczekać, może być pewny, że powróci do młyna; teraz zaś żeby cierpliwie czekał, a czas nie tak prędko uleci.

Skąpomiarski tymczasem żartował sobie, że ludzie naokoło źle o nim gadają; mlewa miał dosyć, folusz i piła także były w ustawicznym ruchu, urodzaje były piękne, a siano pogodnie sprzątnięte, samo było więcéj warte, jak czynsz całoroczny wynosił.

Ale ludzie pomału poznali się, że miarka teraźniejsza jest prawie dwa razy większa, że za kamieniem Bóg wie ile zostaje, sukno także fuszerowane w foluszu, a czeladź zniechęcona złym wiktem, i przy każdym porachunku urwaniem jakiéjś cząstki, pomału zniechęcała się i opuszczała ręce. Skąpomiarski sam zabiegał, ale niepodobieństwo dać radę wszystkiemu; a gdy jeden i drugi miał przepaloną i źle zmieloną mąkę, przytem oszukany był na miarce, pomału rozgłosiło się to, i jaki taki wolał jechać do Rożenka albo Sincic, chociaż daléj, pomijając Bobrnik.

Skąpomiarski wściekał się ze złości, i jeszcze więcéj skąpił w domu, jeszcze więcéj darł każdego, kto ciągniony dawnym zwyczajem, do młyna zabłądził.

Stary Wojciech siedział tymczasem spokojnie na ustroniu i kiwał tylko głową, widząc, jak się powodzi jego nieprzyjacielowi. Przyszło nareszcie do tego, że czeladź zupełnie podziękowała za miejsce i odeszła, a żydki nawet z Żarnowa nie przywozili już mlewa, bo widzieli jasno swoję krzywdę; młyn więc, jeszcze nie upłynęło trzy kwartały, jak nowy zastał gospodarz, zaledwie się kołatał na jedno koło, i to zbożem młynarskiem na handel. Skąpomiarski jednak miał pieniądze; zboże sprzedawał dość drogo, i chcąc zrobić spekulacyą, siano także sprzedał, a bydło zaraz w adwent pozostawił na sieczce i słomie. Przez zimę jako tako się trzymało, ale wkrótce nie mogło się i podnosić, a z wiosną i niejednę skórę wyniósł na bunt.

Zły więc i zamyślony, najadłszy się kartofli z maślanką, siedział Skąpomiarski przed domem, kiedy żyd Herszlik z Żarnowa zacinając chudą szkapinę, zajechał na podwórze, zlazł pomału z wozu, i z biczem w ręku zbliżył się do chałupy—ale u Skąpomiarskiego nie było i psa, to próżny wydatek.

— Dobry wieczór panie majster.

— Dobry wieczór, odbąknął Skąpomiarski.

— Co wason tak zadumany?

— Tak sobie, albo to człowiek nie ma o czem?

— Ny! co myśleć, lepiéj robić, żeby był pieniądz.

— Robić, robić! i co u djabła robić, kiedy nikt nie przyjeżdża ze mliwem?

— Ny! co tam mliwo, mówił żyd, jakby miał jaką myśl ukrytą.

— No, a cóż, przecieżem młynarz z professyi.

— Ny, jabym wiedział jednę spekulacyą.

— Nie musi to być nic dobrego.

— Jak to nic dobrego?

— Ha, powiedźcie, to może zrobimy.

— Ja mam szpekulacyą, co grosz za grosz odda na tydzień, i jakby wasan włożył 100 talarkie, to za tydzień odbierze 200.

Zaiskrzyły się oczy Skąpomiarskiemu na to, ale nie dowierzał jeszcze żydowi i dodał:

— Nie wierzę ja temu, bobyście wy sami zrobili.

— Ja nie mam pieniędzy, ale popytaj się wasan ludzi, ile miał Berek, Chaimski, albo Mordka przed rokiem; ledwo po sto talarków, a dziś panowie.

— I cóż to takiego, mówił coraz z większą niecierpliwością Skąpomiarski, powiedźcie.

— Dobrze, ale się trochę boję.

— Czego u kata, czy mnie?

— No, wasan jeszcze taki młody.

— To jedź do licha, a daj mi pokój.

— Powoli mój jegimość, ja zaraz powiem. Ztąd do granicy jest 13 mil, wasan ma dobre konie, to można prowadzić szwarcunek, a tutejsi kupcy z Przedborza, Opoczna, lub Końskich, płacą za talar towarów dwa. Co tydzień można raz obrócić, a mnie wasan da od talarka złotówkę.

— A jak złapią? mówił podejrzliwie młynarz.

— Ny! co to złapią, albo to ja już raz tam był?

— Ale niebezpiecznie.

— Ej co wasan gada?

— Ha spróbować mogę, ale niewiele na pierwszy raz zaryzykuję, tylko 50 talarów, ale i wy pojedziecie ze mną, bo ja tam nikogo nie znam.

Ugoda wkrótce stanęła na tem, że w sobotę po szabasie, oba dwa wyjadą nad granicę, a tam znajomem miejscem przeniosą im ludzie kontrabandę.

Skąpomiarski pogadał jeszcze z żoną i w sobotę wieczorem wyjechał; koło piątku był już w domu i rachował grube pieniądze zarobku.

Handel ten bardzo mu się podobał, zarzuciwszy więc prawie zupełnie młyn, oddał się całkiem kontrabandzie, a pieniądze jak grad mu się sypały do kieszeni. Aż razu jednego, było to już przed samym Śtym Janem, pod wieczór, wpadł spienionemi końmi na podwórze z wyładowaną furą; czemprędzéj zaczął znosić z Herszlą i żoną rozmaite paki i paczki i chować w słomę w stodole, konie zaś wypuścił zmęczone na trawę. Nie upłynęła może godzina, jak na podwórzu pokazało się dwóch strażników na zmęczonych koniach, którzy ciągle za śladem bryki gonili, a widząc na podwórzu brykę zakurzoną jeszcze z chomontami i pomęczone konie na trawie, pewni byli zdobyczy. Jeden więc został na straży, a drugi udał się do sołtysa po pomoc, i wkrótce powrócił, prowadząc go z sobą i dwóch gospodarzy do pomocy; towary zostały znalezione. Skąpomiarski przyaresztowany—wszystko co miał, zabrano na skarb, sam zaś skazany na karę.

Łakomstwo więc jego, zgubiło go; bo zły nabytek nie idzie na pożytek. Wojciech zaś powrócił do młyna, gdzie do dziś dnia się rządzi; dobrze mu się wiedzie, i ludzie zeń kontenci, i Bóg się cieszy, patrząc na prawego sługę.

Ciepło środkowe ziemi.

Powierzchnia ziemi ogrzana jest od słońca, które wraz ze światłem przysyła nam ciepło. Ciepło to różne jest, stosownie do pór roku; bo dobrze wiemy, że w zimie jest ono bardzo małe, w porze zaś letniéj dokuczają nam czasem niezmierne upały, na wiosnę zaś i w jesieni mamy ciepło umiarkowane. Te różne zmiany ciepła w każdéj porze roku zależą po większéj części od długości dnia, to jest od czasu, przez który słońce ogrzewa ziemię; im bowiem dłuższy jest dzień, tem więcéj ciepła ziemia od słońca odbiera, im krótszy, tém mniej. Drugą przyczyną wpływającą na większe lub mniejsze ciepło jest kierunek promieni słonecznych; jeżeli bowiem promienie padają prostopadle, sprawiają większe ciepło, jeżeli zaś ukośnie, mniej ogrzewają.

Doświadczenie pokazało, że ciepło słoneczne ogrzewa ziemię tylko do pewnéj głębokości, która jest różną w różnych miejscach ziemi; u nas np. głębokość ogrzewanéj od słońca warstwy ziemi nie wynosi więcéj nad 5 sążni czyli stóp 30.

W téj głębokości ciepło się wcale nie zmienia, czyli jest zawsze jednakowe, i równa się ciepłu średniemu w ciągu całego roku; tak, że u nas ponieważ średnie ciepło całego roku jest 6 stopni, a w Paryżu i Londynie blisko 11 stopni, więc w głębokości 5 sążni u nas będzie 6 stopni ciepła, a w Paryżu i Londynie 11 stopni. Po niżéj téj głębokości spostrzegamy inne zjawisko, ciepło bowiem się powiększa, i doświadczenie pokazuje, że na każde 100 stóp głębości przybywa 1 stopień ciepła; jeżeli zaś ciepło ziemi przybywa zawsze jednakowo, wypada, że w głębokości 3 wiorst, to jest przeszło 10,000 stóp głęboko, ciepło ziemi równać się będzie 100 stopniom, czyli będzie takie, jak wody wrzącej; a w głębokości 20 wiorst, czyli blizko 3 mil, ciepło wynosić będzie przeszło 660 stopni, w takiem zaś cieple największa liczba kamieni już się roztapia. Przypuszczając następnie, że i daléj podobnie ciepło się powiększa, to przy środku ziemi, czyli w głębokości 860 mil odpowierzchni ziemi, mielibyśmy gorąco nadzwyczajne, bo dwakroć sto tysięcy stopni wynoszące. O takiem gorącu nawet wyobrażenia sobie zrobić nie umiemy. Nie mamy nawet potrzeby przypuszczać, aby ciepło ciągle się do tego stopnia powiększało, bo wiadomo jest, że wyższego gorąca sprawić nie możemy nad 3 do 4 tysięcy stopni, a w niem już wszystkie najtrudniejniéj topiące się ciała, zupełnie się roztapiają.

Z powyższych spostrzeżeń wypadałoby wnosić, że ziemia wewnątrz dotąd jeszcze jest roztopiona, a cienka jéj tylko powłoka wierzchnia stygnąc stopniowo, skrzepła i zamieniła się w twardą i stałą; że ta skrzepła powłoka zaledwie trzy mile w niektórych miejscach jest gruba, a ciała najbardziéj ogniotrwałe do składu ziemi wchodzące. w głębokości 6 mil już będą roztopione. Grubość twardéj skorupy ziemskiéj wynosząca trzy mile jest bardzo małą w porównaniu z grubością kuli ziemskiéj, która wynosi 1720 mil; taka bowiem jest długość średnicy ziemskiéj, czyli linii poprowadzonéj na wylot przez wnętrze ziemi i dwa punkta przeciwległe, na jéj powierzchni wzięte.

Dla wyobrażenia sobie téj cienkiéj skorupy, weźmy kulę wielkości pomarańczy, i obłóżmy ją cienkim papierem, a ten da nam pojęcie o grubości skorupy twardéj ziemskiéj do całéj jéj

grubości; to jest, jaka jest grubość papieru względem pomarańczy, tak jest grubą twarda skorupa ziemi w porównaniu z jej całą grubością.

Domyślamy się, że tak cienka powłoka ziemi nie zawsze wytrzyma zmiany, jakiéj uledz może rozpalona massa wewnątrz jéj będąca, zwłaszcza, że nadzwyczajne gorąco wszystko może obrócić w parę; a wiemy z doświadczenia, jak ogromna jest siła pary, skoro z wytrzymałych materyałów kotły, z łatwością rozrywa. Nie będziemy się więc dziwić przytrafiającym się w różnych okolicach ziemi wstrząśnieniom i wielkim spustoszeniom, które są ich skutkami, gdy się zastanowimy, że tak cienka powłoka twarda ochrania ziemię od działań roztopionéj massy, pod nią będącéj.

Dwojaki rachunek.

Jeden właściciel ziemski tak prowadził z początku rachunek w swych dobrach:

W dużéj księdze przychodów i wydatków urządził sobie w tym porządku rozchód:

1. Wydatek na osobę dziedzica,
2. „ na dwór,
3. „ na ogród, figarnią, pomarańczarnią,
4. „ na kuchnią,
5. „ na piwnicę,
6. „ na konie cugowe,
7. „ na służbę i liberyą,

Potem dopiero zamieścił nakłady kolejno na inwentarz roboczy, na statki gospodarskie, na uprawę roli i t. p.

Po kilku latach takiego gospodarowania wypadło, że dochody wyczerpnięte na wydatki naprzód pomieszczone, nie wystarczały na nakłady konieczne w rolę, w inwentarz i t. p.

Usłużni lichwiarze i spekulanci już sobie zęby ostrzyli na majątek tak gospodarowany, i z domu prawie nie wychodzili, ofiarując się z pomocą.

Dziedzic zaczął rozmyślać, i zapytał w końcu samego siebie, czyby nie lepiéj wypadło, żeby odwrócić porządek poprzedniego rachunku?

I tak zrobił:

Na pierwszem miejscu w książce rzeczonéj zapisał teraz to, co wprzód było na ostatniem, a na ostatniem to, co dawniéj było na pierwszem, i wypadło z tego tak, że naprzód nakłady robił na rolę, inwentarz, na ludzi do roli, a dopiero, co z tego zostało, przeznaczył na konie do wyjazdu, służbę dworską, kuchnią, i t. d.

Po kilku latach znowu wypadło inaczéj: ziemia rodziła bujno, bydełko i dobytek gospodarski był piękny i liczny, ogród zieleniał i dawał smaczne owoce i jarzyny, piwnica była nie pustą, a dziedzic żył szczęśliwy i zamożny.

Usłużni spekulanci rozeszli się do domów, mówiąc: nie ma tam dla nas żniwa, gdzie praca i porządek gości.

Przykładów powyższemu podobnych ileż to napotkać można między różnemi stanami ludzi, rolnikami, rzemieślnikami, wyrobnikami nawet, chociaż ani tak rozległych dóbr, ani figarni, ani pomarańczarni nie mają!

Niech każdy winny uderzy się w piersi, i podobnie owemu właścicielowi, pamiętny na stare przysłowie: *Podług stawu grobla*, przed czasem zmieni swój rachunek, a tym sposobem zamknie drzwi przed biedą, która za nieładem i rozrzutnością w tropy chodzi.

Wspominki historyczne.

I.

Księżna Ostrogska Chodkiewiczowa, gdy na fundamenta kościoła w Ostrogu kładziono pieniądze, rzuciła garść złota i rzekła: Obym mogła wystawić Bogu ze złota kościół tak wielki, by cały świat zajmował. Przytomny kapłan, odpowiedział jéj na to: Maluchne serce człowieka, jest najmilszym Bogu kościołem.

II.

Jeden z panów polskich, bogatych, Jędrzéj Górka, kasztelan Poznański, generał Wielkopolski w sędziwych latach często mawiał: W młodości pycha łechtała mnie do nabywania godności i szeptała mi: Górko! Górko! kiedy pójdziesz w górę? A teraz rozum mi powiada: Górko! Górko! kiedy będziesz w dole?

III.

Sławny wojownik Stanisław Koniecpolski, Hetman Wielki koronny, zwycięzca szczęśliwy Tatarów, Szwedów i Turków, wymowę miał przytrudną, i zająkiwał się często; z tego powodu rycerstwo polskie o nim mawiało: Pan Stanisław wprzód uderzy, niż wymówi.

W drukarni J. Unger.— Wolno drukować. Warszawa d. 16 (28) Lipca 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.